

KRYSTYNA JANDA: NIE CHCE MI SIĘ JUŻ GRAĆ SZEKSPIRA

U progu lat dziesięćdziesiątych, jak wszyscy artyści, czuła się pani zagubiona – teatry straciły wówczas zarówno bogatego państwowego mecenasa, jak i publiczność. Po dziesięciu latach sprawia pani wrażenie człowieka, który w tym nowym świecie świetnie się odnalazł.

Nauczyłam się w nim żyć i sprawia mi to sporo satysfakcji. Od jakiegoś czasu mam wpływ na to, co gram. Oczywiście nie w filmie, gdzie jestem gościem. Ale w teatrze tak. Zaczęłam reżyserować. I mam wrażenie, że udaje mi się porozumiewać z dzisiejszą publicznością.

Czy to wymaga kompromisów?

Nie, bo mnie już nie interesuje awangarda. Są artyści, którzy chcą wytyczać nowe kierunki w sztuce, iść drogą najtrudniejszą. Grotowski opowiadał kiedyś, że pracował z dwójką aktorów, zamknięty w pokoju. Gdy tylko przeszła im przez głowę jakkolwiek myśl o ewentualnym widzu, natychmiast wszystko przerywali i zaczynali od początku. Aż mi ścierała skóra na plecach, jak to usłyszałam. Mnie na to nie stać. Dość dawno zrozumiałam, że chcę się porozumiewać z publicznością. Oczywiście nie za wszelką cenę, na moich warunkach. Ale wszystko robię dla widzów i z ich powodu, środki wyrazu nie są dla mnie celem samym w sobie, lecz narzędziem. Próbą znalezienia języka, którym mogę rozmawiać z innymi.

Kontakt z publicznością zapewni pani także wybór tematów.

Szukam tekstów na dobrym poziomie artystycznym, ale jednocześnie realistycznych, opowiadających o losach ludzi. Rozglądam się za tematami, które widzów obchodzą, które „wiszą w powietrzu”. Kiedy przygotowywałam „Kobietę zawiedzioną”, czy teraz „Opowiadania zebrane”, wiedziałam, że mówię o sprawach dotyczących wszystkich. Podobnie jest z „Callas”, którą można odbierać na wielu poziomach. Przychodzą na tę sztukę widzowie, dla których jest to opowieść o relacji artysta – widz, ale także ci, których interesuje jedynie przesłanie historii życia i romansów gwiazdy. Od jakiegoś czasu świadomie wybieram takie właśnie teksty.

Jak je pani znajduje?

Staram się śledzić to, co dzieje się w tej „branży” na świecie. Czytam też nowości pojawiające się w literaturze teatralnej. Mój teatr zastanawia się, co mam grać, tłumacze przynoszą mi teksty, w trakcie moich podróży po świecie oglądam spektakle. Zdarza mi się pojechać na jeden wieczór, żeby obejrzeć coś w Berlinie czy Londynie. Niedawno zachwyciłam się angielskim dramatem „Passion Play” („Gra namiętności”) – chyba chciała bym to zrobić, zmierzyć się z tym dla swojej i – mam nadzieję – także widzów przyjemności.

Większość sztuk, w których pani ostatnio oglądamy, sama pani produkuje. Dlaczego?

„Marlenę” robił Wrocław – Festiwal Piosenki Aktorskiej. „Opowiadania zebrane” rzeczywiście wyprodukowałam sama, a teraz zabieram się do produkcji mojego monodramu „Małej Steinberg”. Dlaczego? Z konieczności. Tak naprawdę nie mam temperamentu ani ambicji producenckich.

Nie może pani przygotować tych spektakli w swoim macierzystym teatrze?

Ten teatr ma swoje, niezależne od moich „interesów artystycznych”, plany repertuarowe. A trochę jest i tak, że nie mogę się tam pomieścić z moimi pomysłami. Dlatego jeśli chcę zrobić coś dla siebie, to muszę wyjść poza Powszechny. No, przecież przygotowując „Opowiadania zebrane” razem z moją córką nie mogłam korzystać z państwowych dotacji. Podniósłby się krzyk, że za pieniądze podatników promuję własne dziecko. Inne moje pomysły też nie pasują do naszych teatralnych struktur. Niedawno w Londynie zobaczyłam monodram, w którym dojrzała aktorka grała 10-letnie autystyczne dziecko. Wzruszający i zabawny tekst. Przejmujący. Napisany przez Lee Halla, autora scenariusza do „Billy’ego Elliota”. Zachorowałam na tę sztukę. Cóż to za wyzwanie dla pięćdziesięcioletniej kobiety, która po tylu latach pracy może sportretować 10-letnie chore dziecko! Postanowiłam zrealizować ten monodram razem z Fundacją „Synopsis” zajmującą się dziećmi autystycznymi. Współpracuję z nimi od pięciu lat, staram się im pomagać. Chcę to zrobić dla nich, ale w sposób, który jest w moim przypadku chyba najszlachetniejszy. Część pieniędzy z każdego biletu będzie szła na fundację. I znów muszę ten spektakl wyprodukować sama, bo żadna z oficjalnych scen nie ma nawet przepisów umożliwiających takie działania. Na razie kupiłam prawa do sztuki, to w końcu nie jest takie drogie. A dalej, zobaczymy, poszukam sponsora, albo zapłacę za produkcję sama.

Dlaczego takie pomysły nie mieszczą się w oficjalnej strukturze teatralnej?

Bo ona jest stara i skostniała. A władze coraz częściej i bez zażenowania patrzą na polskie teatry jak na kopalnię, huty i inne nierentowne przedsiębiorstwa. Zapominają, że mają do czynienia z instytucjami produkującymi dobrą kulturę. Niedawno słyszałam, jak urzędniczka średniego stopnia Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego mówiła: „Koniec! Teraz radźcie sobie sami! Skończyło się!”. A jak teatry mają sobie radzić? Na każdym z budynków teatralnych ciężka grupa 70–100 osób. Od tego budynku zależy byt ich i ich rodzin. Dlatego ta struktura jest nie do reformowania. Osoba taka jak ja jest dla tych ludzi zagrożeniem. W efekcie trudno mi wejść na rynek ze swoimi

produkcjami. Dyrektorzy teatrów muszą wyżywić swoich pracowników, więc chcą jak najwięcej na mnie zarobić. Wynajęcie miejsca na próby i spektakle jest piramidalnie drogie.

A prowincja?

Tam jest podobnie. My chcemy jeździć, publiczność chce nas oglądać, ale teatry boją się nas wpuszczać. Bo dyrektorzy i zespoły wiedzą, że zabierzemy im widzów na ich własnych przedstawieniach. To wszystko jest bardzo trudne.

W czasie trasy z Radłem Zet miała pani przedzień w Polsce mnóstwo przedstawień – po dwa, trzy każdego dnia.

Bo Radio Zet to bogaty sponsor, który pokrył wszystkie koszty. I nagle publiczność Szczecina czy Nowej Huty nie musiała płacić takich sum, jak normalnie, gdy wszystko wynika z ekonomicznej kalkulacji. I to było fantastyczne. Spektakli mogło być więcej, a do teatru przyszli ci, których zwykle na to nie stać – nauczycielki, studenci, emeryci. Ale teraz znów moja agentka słyszy: „Janda? Broń Boże”. Bo mój przyjazd do miasta blokuje na jakiś czas własny repertuar teatrów.

Jakie jest wyjście z tej sytuacji?

Na świecie większość teatrów nie ma stałych zespołów aktorskich i technicznych. Gdy ktoś ma pomysł na spektakl, to podpisuje umowę z dyrektorem. Ludzie pracują za darmo, zarabiają dopiero ze sprzedaży biletów. Ich ryzyko polega na tym, że sztuka spadnie z afisza, jeśli nie spodoba się publiczności. W Polsce jest kilka takich scen, w Warszawie są dwa teatry impresaryjne: Komedia i Teatr na Woli. A powinno być ich dużo więcej. Zaczęłyby się wtedy ruszać, wrzeć, ludzie by szukali, próbowali szczęścia. Graliby wszystko – od farsy do awangardy. Walczyliby o dusze i serca widzów. Byłoby lżej, taniej, różnorodniej. A obok tego trzeba by utrzymać kilka szacownych, bogatych, wysoko dotowanych przez państwo scen spełniających misję społeczną, mających najwyższy poziom artystyczny, pielęgnujących tradycję. Do tych teatrów zjeżdżaliby się ludzie z całej Polski. A reszta? Produkcja i tournée. Tak jest w większości krajów. A zresztą, teatr odkąd istnieje, zawsze jeździł. Aktorstwo to zawód z natury wędrowny. Tak powinno być. Zresztą powstają w Polsce powoli impresariaty. Młodzi, prężni ludzie zajmują się sprzedawaniem spektakli, koncertów. Mają dostęp do sal, sponsorów, są świetnie zorientowani, co pokazała „swoim” widzom. Wiedzą, co im sprzedać, co się sprzeda, co sprawi im przyjemność. Oni nie liczą na państwowe dotacje. To są dwa światy.

Pani przecież należy do obu tych światów.

Przechodzę z jednego do drugiego dość płynnie. Ale proszę mi wierzyć

– one są zupełnie różne. Nawet moje zarobki w nich są nieporównywalne. W macierzystym teatrze gram niemal charytatywnie. Zarabiam w trasach.

Pani koledzy o równie wysokiej pozycji na ogół nie jeżdżą od miasta do miasta. Wolą pokazać się w reklamie.

Każdy ma swój sposób na ten czas. Bywa, że te pieniądze zarządzają ich do końca życia.

Pani wystąpiła w reklamie tylko raz – właściwie własnego filmu, bo Renault sponsorował wówczas promocję „pestki”. Myśli pani, że Agnieszce z „Człowieka z marmuru” nie wypada reklamować mydła?

To trochę tak, jak mówię w „Opowiadaniach zebranych” – pewnych rzeczy się nie robi, bo są w złym guście. Ale ja mogę sobie pozwolić, żeby czegoś nie reklamować. Niektórzy są w innej sytuacji. A są i tacy, a jest ich większość, którzy traktują to po prostu jako zarabianie pieniędzy. Dlaczego nie? Tak jest na całym świecie. Sprzedaj własnego wizerunku, dorobku za godziwą cenę... Ja nie oceniam. Po prostu sama odpowiadam – nie muszę.

Udział w reklamie zapewniłby pani pieniądze na następną realizację.

Jakoś na razie nie mogę... Natomiast wrzesza mnie pan Małysz, który reklamuje wszystko z cudowną radością. To fantastyczne.

Z zasady nie występuje pani też w telenowelach, chociaż i tam coraz częściej zdarza się zobaczyć renomowanych aktorów.

Nie przyjmuję ról w soap operach, bo nie wierzę, że w takich produkcjach może powstać coś dobrego. Grałam w serialu „Modrzejska”. Natomiast telenowele... Jeśli myśli się poważnie o zawodzie, to jest to upokarzające. Taka wyprzedaż pozostałości. Ja zresztą nie sprawdziłam się w tej konwencji. Myślę, że na planie takiego serialu byłabym nieszczęśliwa i bezradna. Nie zmieściłabym się w tym.

A myśli pani, że udział w telenoweli jest dobrym startem dla młodych aktorów? Chciałaby pani, żeby pani córka zagrała w soap operze, zarobiła sporo pieniędzy, zyskała popularność?

Marysię interesuje awangarda teatralna i wiem, że odmówiła już roli w tasiemcu. Ale to jest sprawa wyboru, optyki, myślenia o zawodzie. I nie dziwię się, że wielu młodych aktorów te role przyjmuje. Mają małe dzieci, muszą z czegoś żyć.

Zbigniew Zapasiewicz bardzo ostro wypowiadał się ostatnio na temat tych występów.

Nie wolno tak mówić. On jest starszym człowiekiem, miał już w życiu

wiele, jest jedyny, wspaniały, ma pozycję i urządzone życie. Trzeba się postawić w sytuacji młodych. Większość z nich nie ma szansy pokazać się gdziekolwiek, tasiemiec daje im możliwość zaistnienia na ekranie.

W Ameryce aktorzy z soap oper dochodzą czasem do Oscarów. Tak jak np. Helen Hunt. To nieprawda, że w telenowelach grają niezdolni aktorzy. Czasem spotyka się tam kogoś, kto wnosi na ekran dobry klimat. I już się taką osobą zapamiętuje. Więc telenowela to szansa na wyrobienie sobie wizytówki. A przecież każdego roku szkoły kończy 70 nowych aktorów. Niedawno byłam na dyplomie w Łodzi i miałam uczucie, jakbym przyszła do schroniska dla zwierząt – oni grali jak na śmierć.

Co to znaczy „jak na śmierć”?

Ponad miarę. Tak bardzo chcieli, żeby ktoś ich zobaczył, zachwycił się nimi, do czego zaangażował. Czulałam w ich grze jakąś ostateczność. Byłam w ich wieku taka sama, ale czułam mniejszą presję, chyba było wtedy więcej szans. To spotkanie z nimi mnie przeraziło. Jestem pewna, że większość z nich jest gotowa oddać duszę każdemu, kto po nich przyjdzie. Z teatru, filmu czy telenoweli. A do niewielu ktoś przychodzi.

A czy telenowela nie uczy młodego aktora łatwizny?

Jeśli ktoś ma talent i gust, co bardzo ważne w tym zawodzie, to nic go nie zniszczy. Zagra tam, otrzepie się i skończy, jak dostanie szansę na swoim piętrze. Chyba że człowiek się załamię i po dwóch latach takiej pracy straci ambicję, zrezygnuje z emocji, upokorzy się tylko po to, żeby tam być.

Kiedyś stworzyła pani w kinie postać Agnieszki, stała się pani symbolem pewnego pokolenia. Dzisiaj bardzo rzadko spotykamy panią na dużym ekranie. Czy kino dla kobiety o pani ambicjach i w pani wieku, nie ma perspektyw?

Absolutnie żadnych. Przez ostatnich 10 lat nie dostałam z kina żadnej prawdziwie interesującej propozycji. Potrzebna jestem głównie po to, żeby bez kręcenia dodatkowych scen było widać, że bohater pochodzi z inteligentnego domu. A tęsknię za takimi zadaniami, jakie postawiono aktorom w „Wiarołomnych” czy „Samotnych”.

A Wajda? Nie tęskni pani za nim? Pewnie, że tęsknię. Zagrałabym u niego wszystko. Ale on nie może znaleźć odpowiedniego scenariusza, a nie ma powodu, żeby kręcił byle co.

Czym pani tłumaczy swój filmowy zastój?

W moim wieku taki zastój to niemal reguła. Młodzi reżyserzy chyba nie wierzą, że mogą sobą zainteresować dzisiejszą widownię. Zresztą oni tak naprawdę niewiele o mnie wiedzą, bo

Jest prawdziwa. W teatrze, na ekranie. I w życiu. Nie kokietuje, nie udaje kogoś, kim nie jest, nie ukrywa swojego wieku. **Mówi, że stara się żyć w zgodzie z sobą.** Nie zabiega o tanią popularność ani o łatwe pieniądze. Nie można jej zobaczyć w soap-operach, nie gra w reklamach, nie trafia do rubryk towarzyskich kolorowych pisemek. A jednak jest gwiazdą. Osobowością. **Kiedyś stała się jako Agnieszka z „Człowieka z marmuru” symbolem**



Z mężem, operatorem Edwardem Kłosińskim

pokolenia — niespokojnego, nie godzącego się na zakłamywanie życia. Dzisiaj zdieciniałe kino niewiele ma jej do zaoferowania. Ale Krystyna Janda znalazła swoje miejsce w teatrze, gdzie nieustannie szuka kontaktu

z publicznością. **Poza tym reżyseruje, pisze błyskotliwe felietony.** Potrafi pracować od rana do nocy, potrafi też odpoczywać. A czasem boją ją korzonki. Bo w tym wszystkim jest zupełnie normalna.

młodości i uważam to za żalostne. Ja nie przyjmuję roli, jeśli w scenariuszu przeczytam, że bohaterka chce mieć dziecko. Pamięta pani w „Królowej Bonie” zbliżenie Aleksandry Śląskiej w scenie porodu? To był najsmutniejszy kadr, jaki oglądałam w filmie.

✦ Mam wrażenie, że chętnie gra pani bohaterki starsze od siebie.

Tak, gram je z rozkoszą, odpoczywam, rozluźniam się. Teraz proponuję mi na przykład „Wizytę starszej pani”, i to w telewizji. Bosko!

✦ Co więc będzie dalej?

Nie wiem. Już dzisiaj czuję się chwilami bardzo zmęczona. Nie chce mi się grać Szekspira, Strindberga, jak to mówią aktorzy „ciągnąć flaka”. To naprawdę bardzo boli co wieczór, a w widzach budzi emocje tylko wtedy, gdy całość jest perfekcyjna. A jak rzadko się to teraz zdarza! Ożywam, gdy myślę o takich projektach jak sztuka o moim autystycznym dziecku. Dla tego tekstu warto zmobilizować w sobie wszystko. Więc na razie walczę. Ale wiem, że jeśli widownia przestanie mnie akceptować, to też to przeżyję. Wtedy będę spędzać czas w ogródku.

✦ Przecież pani w ogródku nie wytrzyma.

Wszyscy tak mówią. A ja świetnie się tam czuję. Wie pani, że jestem chyba jedyną osobą w środowisku, która jeździ na dwa miesiące na wakacje. I dwa razy w roku na narty. Bo mam dzieci. Nikogo na to nie stać. Nie finansowo, tylko psychicznie. A ja tak robię, dla siebie i dla nich.

✦ Jakie znaczenie ma dla pani dom, który pani stworzyła?

Bez niego nie wyobrażam sobie życia. Mogę spokojnie uprawiać zawód tylko wtedy, gdy wiem, że w domu wszystko jest w porządku, na swoim miejscu.

✦ Znajduje pani czas dla przyjaciół?

Staram się pielęgnować przyjaźnie, odzywam się, dzwonię. Bardzo dużo czasu spędzam rozmawiając przez telefon. Kiedyś miałam taką grupę przyjaciółek: Agnieszka Osiecka, Zuzia Łapicka, Magda Umer, Magda Czaplińska. Od śmierci Agnieszki spotykamy się rzadziej, wszystkie jesteśmy dość zajęte. Ale nie tracimy kontaktu. W moim wieku przyjaźń jest bardzo dużo warta. Poza tym w moim wieku już rzadko spotyka się kogoś, z kim wybucha się śmiechem w tym samym momencie i z tego samego powodu.

✦ A jak zmęczona zamyka pani oczy, to co ma pani pod powiekami?

Kolejny spektakl, kolejną rolę, zbliżającą się premierę. Ale ja prawie nie znam takich chwil. Zawsze mam jeszcze coś do przeczytania, do zrobienia, do obejrzenia.

✦ Jak wyobraża sobie pani siebie za 20 lat? Na emeryturze?

Czasem mam takie uczucie, że przeżyłam życie w przyspieszonym tempie i mentalnie jestem na poziomie emerytury. Bo wszystko już miałam — małżeństwa, rozwód, dzieci, rolę, zagrałam nawet siedemdziesięcioletnią Marlenę. I to mnie nie martwi. Dopóki mogę, pracuję. A na starość już się przygotowałam. Mam dom, wielką bibliotekę, ukochane miejsce we Włoszech. Może będę malowała... Mówiłam pani, najważniejszy jest pogodzenie się ze sobą. ●

na ogół nie chodzą do teatru. A starsi, myśląc o „oglądalności”, sięgają głównie po klasykę i szkolne lektury. To są w większości rzemieślnicze projekty. Poza tym twórcy chyba uważają, że nikt nie chce słuchać historii opowiadanych przez kobietę w moim wieku.

✦ A o czym pani chciałaby opowiedzieć?

Niedawno przepadł w Agencji Produkcji Filmowej scenariusz, który bardzo mi się podobał. To była opowieść o zderzeniu młodości i starości. Widziałam w tym tekście szansę na film artystyczny, chciałam go sama wyreżyserować i nakręcić razem z mężem.

✦ Panuje opinia, że przez pakiety trudno przebić się z projektami nieschematycznymi.

A mnie tylko takie interesują. Uczylałam się rzemiosła na planach filmowych, obserwując w działaniu artystów polskich, francuskich, niemieckich, szwajcarskich. Ale nie jestem reżyserem i samo rzemiosło mnie nie pociąga. Mogę wyreżyserować film tylko wtedy, gdy na jakiś temat zachoruję, gdy dostanę z jego powodu temperatury. Na przykład „pestkę” zrobiłam dlatego, że wszystkich namawiałam, by zrobili film o odpowiedzialności, a żadnego z moich znajomych reżyserów to nie interesowało.

✦ Reżyseria jest dziedziną bliską aktorstwu. Ale zastanawiałam się, co daje pani pisanie?

To dla mnie jeszcze jeden sposób porozumiewania się z publicznością. I ostatnio najmiłsze zajęcie.

✦ Od czego się zaczęło?

Jacek Janczarski zaproponował mi przed laty, żebym napisała coś do „Szpilek”. Powiedział: „Ty tak uważ-

nie oglądasz świat, że powinnaś zacząć to zapisywać”. Potem zamówiła u mnie felietony „Uroda”, później radio. Polubiłam to zajęcie tak bardzo, że od ponad pół roku codziennie piszę w Internecie dziennik. Zapisuję w nim siebie. Oczywiście na moich warunkach. Nie ujawniam wszystkiego, wybieram to, co danego dnia mnie zajęło.

✦ Te wszystkie teatralne produkcje, wyjazdy w Polskę, reżyseria, pisanie... Jest pani strasznie pazerna na życie.

„Pazerność na życie”. Tak to wszyscy nazywali od początku, odkąd poszłam do szkoły teatralnej.

✦ A to nie przechodzi z wiekiem? Na szczęście nie.

✦ Aktorka tej miary, na dodatek z dobrze zarabiającym mężem, nie powinna chyba być aż tak zapracowana.

Ciągle ktoś mnie o to zapracowanie pyta. A ja odpowiadam: inni pracują tyle samo, tylko może moją pracę bardziej widać. Lekarze, biznesmeni — czy oni mniej pracują? W środowisku aktorskim też wiele osób się nie oszczędza.

✦ Ale o pani myśli się „gwiazda” — osoba, która czasem coś zagra, a poza tym ma dużo czasu, żeby dbać o siebie...

Tak to jest może gdzieś na świecie. Gdybym zarabiała za jedną rolę milion dolarów, to może do następnej przygotowywałabym się pół roku. Chociaż... Ci, co mnie znają, uważają, że gdyby nawet nikt mi nie płacił, to ja i tak bym grała. Mój mąż mówi, że dzień bez spektaklu jest dla mnie dniem straconym. Bo ja lubię grać. Lubię ten zawód. To banał, ale scena jest dla mnie najwspanialszym miejscem na świecie. Tam znam reguły

gry. A teraz na dodatek ciągle się spieszę, bo wydaje mi się, że to wszystko już jutro się skończy.

✦ To znaczy?

Że nikt już nie będzie chciał mnie oglądać. Że stracę aktualność. Na moich oczach kilku świetnych aktorów straciło aktualność. Grali dalej, bo nie rozumieli, co się stało. A ja byłam młodą aktorką i widziałam to wyraźnie. Obserwowałam pewną wielką aktorkę, która na scenie po wielu, wielu latach pracy, sukcesów, miłości publiczności, była nagle kompletnie bezradna. Jak nakręcana lalka, w której jeszcze działał mechanizm, ale nic więcej. Nie potrafiła opanować sali. Grała tragedię, a ludzie się śmiali. Gorszej rzeczy na oczy nie widziałam.

✦ Co to właściwie znaczy dla aktora „stracić aktualność”?

To znaczy rozmawiać z publicznością językiem, który widzowie odrzucają.

✦ Umieranie artysty za życia zagrała pani w „Marlenie”.

Dlatego właśnie chciałam tę sztukę wystawić: pokazać moment, kiedy już nic z legendy nie jest prawdą. Zagrać kobietę, która boi się wszystkiego: sceny, publiczności, samej siebie, jest chora, nieszczęśliwa, nie może już śpiewać, już nie umie śpiewać, a zębami trzyma się sceny. Coś przerażającego.

✦ Co zrobić, żeby nie umrzeć na scenie za życia?

Nie wiem. Chyba trzeba żyć, a nie udawać, że się żyje. Trzeba być otwartym na ludzi, czuć, myśleć. Ja już nie wierzę w aktorów, którzy nie myślą. To jakiś stary model — że niby nic nie rozumie, a ma intuicję. Nie ma teraz miejsca dla aktorów, którzy nie wiedzą, gdzie żyją, nie czytają gazet, nie rozumieją człowieka jadącego tram-

wajem. Może są pomazańcy Boży, dla których czas nie istnieje. Ale ilu takich jest?

✦ Upływ czasu panią przeraża?

Nie, tylko mi żal, że jeszcze trochę i będę musiała umrzeć.

✦ No, tego „jeszcze trochę” nie jest mało.

Ale z żalem myślę, że zostało mi mniej niż więcej. A ja lubię żyć. Ktoś mi przysłał kwestionariusz do wypełnienia. Było tam pytanie, na jakiej godzinie zatrzymałabym się, gdybym była zegarem. Boże! Zatrzymałabym go w ogóle! Niech czas teraz stanie, bo ja jeszcze mam tyle do zrobienia. Nie zdążę! Nie warto marnować już żadnego dnia. Żadnej minuty. Tak szybko teraz czas dla mnie biegnie.

✦ Ma pani lęk przed starzeniem? Przed kolejną zmarszczką?

Interesuje mnie tylko jeden aspekt tej sprawy — czy jeszcze przyjemnie się mnie ogląda. Były aktorki, jak Katharine Hepburn, na które do końca było miło spojrzeć, a są osoby, które starzeją się tak, że nawet jeśli są wewnętrznie bardzo bogate, to pani nie chce ich oglądać. To jest jak z fotogenicznością. Jest w tym jakaś tajemnica.

✦ Zawsze otwarcie mówi pani o swojej pięćdziesiątce, potrafi pani wyjść z domu nieumalowana.

Nie próbuję udawać, że jestem nastolatką. Od dawna nie przyjąłam roli osoby młodszej niż jestem. Co więcej, robiłam wiele, żeby zeszły z afisza sztuki, gdy uznawałam, że już nie powinnam w nich dalej grać. Uważałam, że „wyrosłam” z Giseli w „Dwoje na huśtawce”, czy z Elwiry w „Mężu i żonie”. Myślę, że żyję w zgodzie z sobą. Znam wiele aktorów, które rozpaczliwie trzymają się